

„Ponieważ miłość chyba jest” O wierszach Marka Lobo Wojciechowskiego¹

Marek Lobo Wojciechowski, *Ektoplazma*, „Rivia” Aleksandra Duda, Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wlkp, Gorzów Wlkp. 2009, 60 s.

Chodzić zaczął późno, ciężenie długo było jedynym rozkazodawcą. Za to od razu biegał nadrabiając. Była żywość i chudość.

Wcześnie patrzył w gwiazdy i dziewczynom pod sukienki, szukając jedynej. Za dużo gwiazd, zimność i obojętność. Nieobecność ciepła.

Te wymyki – *Wymyki z biografii smutnego chłopca* (bo taki tytuł nosi cytowany fragment) można by potraktować jako poetycką autocharakterystykę. Ich autor, Marek Lobo Wojciechowski, jest autorem niemłodym. Urodzony w roku 1959, należy do pokolenia Zbigniewa Macheja, Andrzeja Sosnowskiego, Marcina Świątlickiego, a jego idiom poetycki, podobnie jak idiom wymienionych twórców, reprezentuje świadomość wydziedziczoną – bezdomną i wyobcowaną, błędzącą w świecie pokuszonych czy raczej – należałoby rzec – zużytych wartości i systemów. W odróżnieniu jednak od autora *Zimnych krajów* i poetów-rówieśników Lobo Wojciechowski debiutował późno (pierwsze wiersze opublikował w roku 2007) i – być może dlatego? – jego utwory nie wyrażają buntu, nie odnotowują żalu nad utraconą naiwnością/niewinnością, nie toczą wojny ze światem.

Egzystencjalne niepokoje i lęki są tu chłodno, „po męsku” oswajane, a minione zranienia, zasklepiene w blizny (motyw blizny zdaje się kluczowy dla autora *Ektoplazmy*), owocują tonem gorzkiej dojrzałości – pogodzonej z wyrokami losu, pozbawionej nadziei na przyszłość, wolnej od retrospektywnego sentymentu i spokojnie przyjmującej to, co się aktualnie zdarza. „Zdarza”, czyli... gubi, rozpada, gnije, więdnie, obumiera. Bo takim właśnie procesom poddana jest rzeczywistość w wierszach poety. Takim procesom podlega także mówiący, który w utworze zamykającym tomik transponuje topos jesieni/odchodzenia na sytuację starzejącego się i tracącego witalność mężczyzny. „Więdniemy, bracie”, oznajmia

podmiot, a siła tego wyznania, podejmującego znany, zbanalizowany już wątek, zawiera się m.in. w zderzeniu stylu kolokwialnego i dykcji wysokiej, absorbującej echa literackiej tradycji: Horacego, Rilkego, poezji spod znaku vanitas – tej barokowej, ale i współczesnej. „jesień już Panie a ja nie mam domu / i coraz trudniej o siebie” (VIII). To Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki. A Wojciechowski? „Jesień już, bracie. Opadają liście. / Opada prącie, zmęczone podróżą / przez dni i lata, pośród różnych łózek” (*Jesień*).

W wierszach autora *Ektoplazmy* to, co istnieje, objęte zostało dotykem śmierci, która, sięgając wstecz, obejmuje dzieciństwo i „gnijące korzenie” (*Macondo, Macondo*); która rozrasta się w „obszary obojętności, szorstkie jak pustynia” (*wymyki z biografii smutnego chłopca*); która wychyla się spoza codziennej, zwykłej egzystencji: „Chodź pod ziemią i skrobie / od dołu, poprzez podfogie. / A może skrobie od góry, / łązi po wierzchu, kumasz?” (*popatrz*). Dzięki dystansowi, zobiektywizowaniu, nastawieniu na konkret (oraz na dotyk jako podstawową formę kontaktu ze światem) dialog Lobo Wojciechowskiego z nicością wybrzmiewa czysto i przejmująco. I można chyba bez większej przesady powiedzieć, że udało mu się to, co jest udziałem dobrych, dojrzałych poetów: wyrazić samopoczucie człowieka początku XXI wieku: „Jednego z pochodni idących w milczeniu, odległych wśród gmatwaniny ścieżek” (*ektoplazma*), zamieszkującego jałowy obszar wydziedziczenia i żyjącego w czasach postromantycznych, gdy „Nic nie jest dziś poezją albo jest nią wszystko” (*Mary Celeste*).

Poezja Wojciechowskiego pozwala przy tym wierzyć, że prawdziwy jest również drugi człon przytoczonej wyżej kontradycji. Bo na antypodach śmierci albo tuż obok – w porządku lirycznym, niejako nadbudowanym nad prozą egzystencji – zdarzają się sytuacje, unieważniające doznania chłodu, obcości, pustki, przemijania. W takich momentach jego wiersz sprawdza rozchwiane punkty

¹ Tekst recenzji jest zmodyfikowaną i rozszerzoną wersją laudacji wygłoszonej podczas uroczystości wręczania Lubuskiego Wawrzynu Literackiego w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze 25 lutego 2010 roku.

oparcia, mierzy się z metafizyczną perspektywą, przebija do sensu – chwytanego w akcydensach życia i (przede wszystkim) w spotkaniu z drugim, a najczęściej z „nią”. Rytm, a niekiedy i rym, stają się wówczas ekwiwalentem przeczonego ładu. Dlatego najlepsze są te utwory, w których poeta wygrywa napięcie między doświadczonym/doświadczanym i... nieznanym; wiersze pisane zdyszczanym tokiem przerzutniowym, w których orzekanie zostaje zawieszane poprzez składnię powtórzenia i amplifikacji, nagromadzenie możliwości i znaków zapytania; wiersze, które pozwalają zdjąć ze słów lakier („Ze poczuje, jak złazi lakier ze słów, zostawiając jądro znaczeń”, *rozmowa przedostania*) i mówić... np. o miłości, „Ponieważ miłość chyba jest” (*von Kleist – wprawki do ostatniego listu*). Myślę przede wszystkim o takich utworach, jak *graffiti*, *czymkolwiek to jest*, *z pamiętnika buchaltera*, *ranne jelenie*

omijają rykowiska, *rozmowa przedostatnia* czy *Mary Celeste*.

W poezji lubuskiej głos Marka Lobo Wojciechowskiego jest głosem nowym: świeżym, a zarazem dojrzałym; mocnym, a przy tym wyczulonym na ćwierćtony; zobiektywizowanym i chłodnym, ale chłodnym również dzięki umiejętności stawiania tam wzruszenia, dzięki sztuce rozbrajania banału i sentymentu. Jego poezja czerpiąc z tradycji, mówi językiem własnym; zanurzona w prywatności, nie odśladania „ja”; a reprezentując dykcję pokolenia – pozostaje głosem indywidualnym, samodzielnie przedzierającym się przez „szlaki dawnych koryt, suche jak dno szklanki [...]” (*kadr: niedoświetlony, opcjonalny*), przez „rozsypany piach drogi mlecznej” (*fado*).

Małgorzata Mikołajczak